

WHISKEY

**TAJEMNICZE MIASTECZKO
BOOTLEG SPRINGS**

CHASER

**LUCY SCORE
CLAIRE KINGSLEY**

Tytuł oryginału: Whiskey Chaser (Bootleg Springs #1)

Tłumaczenie: Krzysztof Sawka

ISBN: 978-83-283-8476-7

Copyright © 2018 Lucy Score

Published by arrangement with Bookcase Literary Agency and Booklab Agency.

Polish edition copyright © 2023 by Helion S.A.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/whibs1>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

SCARLETT

Nienawidzę pogrzebów. Pachną liliami i smutkiem. Wiąże się z nimi zbyt wiele uścisków i mokrych chusteczek. A czarna sukienka, którą znalazłam na wyprzedazy w Targecie, drażniła mój kark w miejscu, gdzie metka ocierała się o skórę.

— Bardzo mi przykro z powodu twojej straty, Scarlett. — Znalazłam się w niezręcznym uścisku przygarbionego, niemal dwumetrowego Berniego O’Della. Z powodu pogrzebu zamknął dziś zakład fryzjerski. Był jednym z nielicznych przyjaciół Jonaha Bodine’a, którzy pozostali u jego boku aż do samego końca, nawet wtedy, gdy mój ojciec nie zasługiwał już na ich przyjaźń.

Uśmiechnęłam się słabo do Berniego i poklepałam go po ramieniu.

— Tata zawsze cenił sobie waszą przyjaźń.

Oczy Berniego wypełniły się łzami, a ja przekazałam go Bowiemu, mojemu dobremu bratu. Nie to, żeby Jameson i Gibson byli źli, ale Bowie piastował urząd wicedyrektora w lokalnym liceum. Częścią jego obowiązków było radzenie sobie z emocjami, które przerażały pozostałe rodzeństwo.

— Bóg ma plan — oznajmiła Sallie Mae Brickman i pocieszająco uścisnęła mi dłoń. Jej ręce bez względu na porę roku zawsze były zimne. Mogło być czterdzieści stopni czwartego lipca, a lemoniada trzymana przez Sallie Mae byłaby i tak na wpół zamrożona.

— Z pewnością. — Wcale nie byłam pewna, czy istnieje jakiś plan albo bóg. Jeżeli jednak Sallie Mae czuła się dzięki wierze lepiej, to wcale nie miałam zamiaru jej tego odbierać.

Kolejka osób składających kondolencje wydłużyła się jak do toi toia na koncercie, gdyż Bernie opowiadał Jamesonowi jakąś historyjkę wędkarską. Mój brat był swego rodzaju artystą-samotnikiem, co samo w sobie stanowiło chyba dla niego osobisty koszmar. Za nim spoczywał w trumnie nasz ojciec, a przed nim aż do drzwi wejściowych rozciągała się kolejka życzliwych mieszkańców.

Bootleg Springs w Wirginii Zachodniej jest, moim skromnym zdaniem, najwspanialszym miejscem na świecie. Mamy bogatą historię przemytu alkoholu w czasach prohibicji (mój pradziadek, Jedediah Bodine, został lokalną legendą, gdyż wraz z księżycówką i gorzałką sprowadził do naszego miasteczka dostatek), a dzięki gorącym źródłom i kilku uzdrowiskom rozwijamy się jako miejscowość turystyczna. Nasza społeczność jest malutka, ale potężna. Każdy zna każdego. A gdy jedno z nas umrze (bez względu na status tej osoby za życia), zawsze zbieramy się do kupy, szykujemy zapiekanki i składamy kondolencje.

— Hej, dziunia. — Cassidy Tucker, najładniejsza i najbardziej złośliwa zastępczyni szeryfa w całej Wirginii Zachodniej, była ubrana w mundur i ciągnęła za sobą swoją siostrę, June. Moja najlepsza przyjaciółka jeszcze z czasów przedszkolnych doskonale zdawała sobie sprawę z kotła uczuć buzujących pod moim smutnym obliczem. Przytuliłam ją mocno i wciągnęłam Żuczka* w nasze objęcia.

June dwukrotnie klepnęła mnie po plecach.

* W oryginale June Bug, czyli chrabąszcz. Taki przydomek nadały przyjaciółki June od jej imienia — *przyp. tłum.*

— Jestem pewna, że czujesz ulgę, ponieważ nie musisz się już martwić o twojego ojca nadużywającego alkoholu w miejscach publicznych — powiedziała szorstko.

Zamrugałam. June była... inna. Relacje międzyludzkie ją zdumiewały. Dyskusje na temat statystyk sportowych sprawiały jej o wiele większą przyjemność niż pogaduszki, co jednak nie przeszkadzało mi ani Cassidy w zmuszaniu jej do uczestniczenia w życiu społecznym. Poza tym była mieszkanką Bootleg. Wszyscy byli przyzwyczajeni do jej dziwactw.

— Trafna uwaga, June — powiedziałam. Pozostali mieszkańcy byli zbyt uprzejmi, aby wspomnieć głośno, że mój ojciec zapił się na śmierć. Jednak to, że podjął w życiu naprawdę gówniane decyzje, wcale nie znaczyło, że nie stanowił elementu bootlegowej mozaiki. Wszyscy zapominaliśmy o wadach danej osoby, gdy spoczywała w wyścielanej atlasem trumnie w Kościele Wspólnoty Bootleg.

— No co? — zapytała June swoją siostrę i uniosła brwi, gdy opuszczały kolejkę. Cassidy poklepała ją po plecach.

Stary sędzia Carwell ujął moją dłoń, a ja zerknęłam szybko w prawo na Bowiego. Przytulał Cassidy... z zamkniętymi oczami. Postanowiłam później go o to pomęczyc. *Wąchasz włosy zastępczyni na pogrzebie ojca, Bowie? Do jasnej ciasnej, zaprosz ją w końcu na randkę!*

— Ubolewam z powodu twojego taty, Scarlett — wysapał sędzia Carwell. Staruszek już od piętnastu lat starał się zrezygnować z piastowanego urzędu i przejść na emeryturę. Jednak hrabstwo Olamette nic sobie nie robiło z jego marzeń. Zmiany nie przychodziły w Bootleg łatwo.

— Dziękuję, proszę pana — odparłam. — Proszę także podziękować pani Carwell za chleb kukurydziany.

Chleb kukurydziany Caroliny Rae Carwell był sławny w czterech hrabstwach. Tego ranka walczyłam z Gibsonem, najstarszym bratem, o ostatni kawałek. Biłam się wystarczająco nieczysto, żeby wygrać.

Byłam wdzięczna za wsparcie. Wydawało się, że każdy mieszkaniec zjawił się, aby złożyć kondolencje i poplotkować o życiu Jonaha

Bodine'a, a także o tym, jakim dobrodziejstwem było to, iż w końcu odnalazł spokój.

Prawdziwe dobrodziejstwo miałoby miejsce wtedy, gdyby dziesięć lat temu tata obudził się po jednym z omdleń alkoholowych i zdecydował się zmienić swoje życie. Zamiast tego postanowił całą duszą i ciałem realizować się jako żulik, a teraz czwórka pozostałych Bodine'ów stała pośrodku kościoła, którego progę nie przekraczaliśmy od śmierci mamy.

Tak, byłam dwudziestosześcioletnią sierotą. Na szczęście miałam braci. Jedynie ta trójka złowieszczych chłopaków była mi potrzebna do życia. A oprócz nich jeszcze zimne piwo, dobra piosenka country i moja mała chatka nad jeziorem. Do pełni szczęścia niewiele mi brakowało.

* * *

—ALEŻ TO BYŁA CHOLERNA SZOPKA — wymamrotał pod nosem Gibson i klapnął na ławce w pierwszym rzędzie. Rozciągnął się i zdjął buty. Mój wybuchowy brat, z zawodu cieśla i stolarz meblowy, serdecznie nie znosił garniturów. Reprezentował swoją osobą klasyczny przykład wysokiego, mrocznego i przystojnego zawiadaka. Poza tym miał problemy z panowaniem nad agresją. Dla całego miasteczka był dupkiem. Dla mnie był wielkim bratem, który w środku nocy pojechał do sklepu i kupił mi tampony, gdy mi ich zabrakło.

Ku swojej konsternacji odziedziczył po ojcu wygląd przystojniaka. Ciemne włosy, jasnoniebieskie oczy i zarost, który w ciągu dwóch dni przeobrażał się z porządnej, zadbanej szczeciny w brodę górala. Gibson był wypisz wymaluj młodszą wersją Jonaha Bodine'a i nienawidził tego z całego serca.

Jameson przysiadł naprzeciwko kaplicy na schodkach wyłożonych zielonym dywanikiem. Zakrył twarz dłońmi, ale znałam go zbyt dobrze, by uznać, że płakał. To jasne, że był przytłoczony, ale wynikało to raczej ze zbyt długiego udzielania się towarzysko.

Bowie objął mnie ramieniem.

- Jak się trzymasz? — zapytał.
 Uśmiechnęłam się do niego gorzko.
 — Dobrze. A ty?
 — Też w porządku.

Wielebny Duane zapewnił nam odrobinę prywatności przed pochówkiem. Żadne z nas nie było z tego do końca zadowolone. Przetrawiliśmy kondolencje i mszę. W pochówku towarzyszyła wyłącznie najbliższa rodzina. I był to ostatni etap dzielący nas od całego mnóstwa wódki.

Spojrzałam szybko w kierunku ojca. Nie wiem, skąd się wzięło powiedzenie, że umarli wyglądają, jakby spali. Dla mnie w ciele Jonaha Bodine'a nie było nic żywego od chwili, gdy duch je opuścił. To samo pomyślałam cztery dni wcześniej, gdy znalazłam go martwego w łóżku, które przez nieszczęśliwe dwadzieścia dwa lata dzielił z mamą.

Ze wszystkich Bodine'ów ja byłam najbliżzej taty. Pracowaliśmy razem. Znaczący się, przejęłam po nim rodzinny biznes, gdy nie potrafił wytrzeźwieć na tyle, żeby dokończyć zlecenie. W wieku dwunastu lat nauczyłam się prowadzić auto. Tamtego lata mama zaczęła wysyłać mnie do pracy wraz z tatą, abym powstrzymywała go przed piciem w czasie roboty. Nie zdało się to na wiele. Nauczyłam się za to jeździć samochodem z manualną skrzynią biegów, musiałam tylko siadać na kilku warstwach zwiniętych koców.

Teraz już go nie było. Ja natomiast za cholerę nie miałam pojęcia, jak się z tym czuję.

— Nadal mamy dziś w planach ognisko, Scar? — Gibson patrzył na mnie, jakby wyczuwał, że niezupełnie znajduję się w jego drużynie „Ding-dong, pijaczyna nie żyje”.

— Tak, nic się nie zmieniło.

Moja chatka z bezpośrednim dostępem do plaży stanowiła doskonałe miejsce do spędzania weekendów; urządzaliśmy wtedy ogniska, pływaliśmy po jeziorze, a także szaleliśmy na improwizowanych koncertach. Bootleg mogli się pochwalić niejednym talentem muzycznym.

Dzisiejszy wieczór byłby dla moich braci jedynie kolejną imprezą, ale ja traktowałam go jako moje osobiste pożegnanie z ojcem, którego mimo wszystko kochałam.

— A więc, Bowie — zaczęłam, spojrzawszy na brata. Podobnie jak ja, odziedziczył po mamie szare oczy, a po tacie bardzo ciemne włosy. — Wydawało mi się czy naprawdę próbowałeś wciągnąć nosem Cassidy Tucker? Ile jeszcze sąsiadek obwąchałeś podczas kondolencji?

Zacisnął zęby, co tylko podkreśliło wyraziste policzki Bodine'ów.

— Zamknij się, Scarlett.

Wyszczrzyłam się w pierwszym szczerym tego dnia uśmiechu.

— Drocę się tylko — powiedziałam.

Bowie nie zamierzał tego przyznawać, ale czuł miętę do Cassidy. I, o ile mi wiadomo, nigdy niczego w związku z tym nie zrobił. Jeśli zaś chodzi o mnie? Gdybym spotkała jakiegoś faceta, który by mi się spodobał, nie omieszkałabym mu o tym powiedzieć. Życie jest krótkie, a orgazmy takie wspaniałe.

Dom pachniał kruchymi ciastkami i kurzem. Moja babcia przebywała od kilku tygodni w Europie i cieszyła się wiosennym wypoczynkiem wraz z Estelle, swoją życiową partnerką. Gdy dowiedziały się o moich kłopotach i życiowych zawirowaniach, użyczyły mi swojego przytulnego domku nad jeziorem w jakiejś nieznannej, zabitej dziurami mieścinie w Wirginii Zachodniej.

Nie byłem tu wcześniej. Nie pozwalało mi na to życie w Annapolis. Babcia przyjeżdżała do nas na wakacje i wydarzenia rodzinne. Twierdziła, że jesteśmy zbyt zajęci, aby ją odwiedzać, ale znaleźmy prawdziwy powód. Moja matka (jej córka) zawsze wchodziła w tryb pasywno-agresywny na najmniejszą wzmiankę o spędzeniu dowolnie długiego czasu „gdzieś w głębi lasów”.

Obecnie jednak te lasy były moją jedyną możliwością. Spieprzyłem sprawę, *a do tego* zostałem wydymany. Na pewien czas stałem się wygnanцем. Teraz zaś chciałem jedynie siedzieć tu z zamkniętymi oczami i wymazać kilka poprzednich miesięcy z pamięci.

W tym również moment, w którym złamałem nos Haydenowi Ralstonowi.

Mój tata uprzejmie zwrócił uwagę, że przemoc nigdy nie jest dobrym rozwiązaniem. Co innego jednak sugerowała mroczna przyjemność, jaką poczułem, gdy rozkwaśiłem temu zasańcowi przegrodę nosową. To było zupełnie nie w moim stylu, człowieka przygotowywanego od wczesnego dzieciństwa do dogadzania społeczeństwu.

Spoglądałem w noc przez drzwi wychodzące na pomost. Otworzyłem je po to, aby przewietrzyć nieco zatęchłe powietrze w domu, ale zamiast tego w moją samotność wdarła się głośna muzyka dobiegająca z sąsiedniego domu. Jakiś wesoło brzmiący muzyk country zakłócał mój niepokój, co było mi bardzo nie w smak. Nie przyjechałem tutaj, by przysłuchiwać się jakimś wiosennym potańcówkom, lecz by zanurzyć się w refleksjach.

Z westchnieniem zwlokłem się z wygodnego, wysłanego pledem fotela babci i podszedłem do drzwi. Przesuwne skrzydła protestowały ze zgrzytem, gdy je otwierałem. Kolejna rzecz do naprawy. Skoro babcia i Estelle były tak uprzejme, że udzieliły schronienia załamanej dziewczynie, to ja w podziękowanie mogłem spróbować naprawić kilka rzeczy, które nadawały się do naprawy. Włącznie ze sobą.

Gdy wyszedłem na pomost, poczułem roztaczający się po okolicy zapach ogniska. Gdyby jakiś nawalony wsiok przekroczył granicę działki choćby czubkiem kowbojskiego buciora, pogoniłbym go i jego kumpli groźbą mandatu za naruszenie własności.

Wszedłem w las, podążając za obcymi dla mnie w tym momencie życia dźwiękami. Śmiech, okrzyki podziwu. Zabawa. Przynależność do grupy. Akceptacja. Zapomniałem już, czym są te uczucia. Byłem autsajderem szukającym swojej szansy, zarówno w dawnym życiu, jak i tutaj, na tym wygwizdowie. To był mój osobisty czyściec przeszłości i przyszłości.

Ścieżka pomiędzy domami była często używana, nie byłem jednak pewien, czy przez ludzi, czy zwierzęta. Gdy w końcu wyszedłem z lasu, poczułem się, jakbym trafił do innego wszechświata. Byłem świadkiem balangi. Zgromadzone wokół domu pary tańczyły wtulone w siebie i śmiały się pod rozgwieżdżonym niebem. Tuzin innych osób zgromadził się

wokół trzaskającego głośno ogniska, z którego ulatywały pod niebo pióropusze niebieskawego dymu. Nieco dalej teren płynnie przechodził w migoczącą taflę jeziora. Dom, a właściwie chatka, przywodził mi na myśl domek dla lalek. Był malutki i uroczy.

Muzyka przeszła w hymn country, który nawet ja znałem, a tłum zareagował, jakby właśnie wszyscy wygrali na loterii. Ktoś zwiększył jeszcze głośność i przypomniałem sobie, po co tu przyszedłem.

— Kto jest właścicielem tego domu? — zapytałem parę tańczącą na improwizowanym parkiecie.

— Scarlett — odpowiedziała dziewczyna z tak nosowo brzmiącym akcentem, że niemal nie rozumiałem wypowiedzianego słowa.

No tak, *oczywiście* właścicielka musiała mieć na imię Scarlett.

— Znajdziesz ją tam, na pikapie. — Kolega „nosowej” dziewczyny skinął zarosniętą brodą w kierunku czerwonej półciężarówki błyszczącej w blasku ogniska. Wokół bagażnika zgromadził się wiwatujący tłum.

Para powróciła do stykania się czołami oraz kołysania w przód i w tył. Przeszedłem po trawniku w kierunku rabanu. *Rabanu?* Wyglądało na to, że już zacząłem przejmować prowincjonalne słownictwo.

Przecisnąłem się przez gromadę ludzi w okolicy tylnego zderzaka i nagle się zatrzymałem. Stała tyłem do mnie, zwrócona w stronę tłumu. Ubrana była w krótką dżinsową spódniczkę, zawiązaną w talii płócienną koszulkę, a całości dopełniały kowbojki. Nogi łączące buty ze spódniczką były delikatnie umięśnione. Miała długie, kasztanowe włosy spływające falami po plecach. Była drobnych rozmiarów, ale nie przeszkadzało to w niczym wyrazistym krągłościom jej bioder. Wyglądała jak spełnienie marzeń każdego faceta, a jeszcze nawet nie widziałem jej twarzy.

Odchyliła głowę tak, że końcówki włosów muskały ją po krzyżu. Tłum zaczął wiwatować jeszcze głośniej.

— Żłap, żłap, żłap! — skandował tłum; prawdopodobnie wołali „żłop” ze swoim specyficznym akcentem.

Chudzinka wyprostowała się teatralnie i rozpostarła ramiona przed wielbiącą ją widownią, ukazując pusty litrowy kufel w ręku. Odrzuciła plastikowe naczynie do bagażnika i ukloniła się głęboko, przy czym jej spódniczka zdumiewająco wysoko uniosła się przed moimi oczami.

Tłum ją kochał. I musiałem przyznać, że gdybym nie był wrakiem człowieka, mógłbym zostać jednym z jej wielbicieli. Tańczyła w tych swoich butach i przybijiała piątki wokół bagażnika. Aż trafiła na mnie.

Miała szerokie usta i grzbiet zadartego nosa upstrzony drobnymi piegami. Jej oczy były wielkie i otoczone długimi rzęsami.

— No proszę. Patrzenie, kto w końcu przyszedł się zabawić. — Jej głos był słodki i mocny niczym księżycówka, którą babcia przywiozła na Święto Dziękczynienia.

Zanim zdążyłem zareagować i zażądać, żeby ściszyła tę przeklętą muzykę oraz okazała sąsiadom nieco szacunku, położyła na mnie swoje dłonie. Dokładniej mówiąc, na moich barkach. Kucnęła i skoczyła, a ja zdążyłem jedynie instynktownie zareagować.

Chwyciłem ją w tali, gdy zeskakiwała z bagażnika. Moje ramiona zadziały z niewielkim opóźnieniem. Trzymałem ją w powietrzu, gdy nasze spojrzenia się spotkały. Miała stalowoszare, wielkie i błyszczące oczy. Czy ona się ze mnie śmiała? Pomalutku postawiłem ją na ziemi, czując, jak jej ciało ociera się o mnie w drodze na dół.

Była drobną wrózką leśną z Wirginii Zachodniej, zbliżającą się właśnie do mojego torsu.

— W końcu raczyłeś się pojawić.

— Słucham? — Zdołałem wydukać to jedno słowo i pogratulowałem sobie w duchu.

Wsadziła palce do ust i gwizdnęła przeszywająco.

— Możemy już ściszyć muzykę — krzyknęła, wrzasnęła czy jak tam to nazywają w tej przeklętej mieścinie.

Głośność natychmiast zmaląła niemal o połowę.

— Znamy się? — zapytałem, odnalazłszy w końcu właściwe słowa. Byłem całkiem pewien, że nic mnie nie łączyło z tą piwożłopką.

Zignorowała moje pytanie, a zamiast odpowiedzi ujęła moją dłoń i poprowadziła mnie do szeregu trzech minilodówek stojących między domem a ogniskiem. Schyliła się i wyłowiła spomiędzy lodu dwa piwa.

— Proszę. — Podała mi jedno. — Słuchajcie wszyscy. Ten tutaj to Devlin McCallister. Wnuk babuni Louisy.

— Cześć, Devlin — odezwali się chórem ze swoim appalaskim akcentem ludzie w pobliżu.

Zbity z pantałyku, spojrzałem na piwo w rękę i, nie mając lepszego pomysłu, otworzyłem je. Muzyka została ściszona. Misja wykonana. Powinienem już iść.

— Chodź — powiedziała, wskazując głową grupkę osób przy ognisku. — Przedstawię cię paru osobom.

W tamtej chwili na niczym nie zależało mi mniej niż na zapoznawaniu się z nieznanymi. Chciałem jedynie wpełznąć z powrotem do domu babci i chować się tam, dopóki...

Inaczej to wyglądało z perspektywy członka stanowej Izby Reprezentantów. Byłem żonatym mężczyzną, mającym piękny dom i plan na wyładowanie w ciągu pięciu następnych lat w Waszyngtonie. A teraz, gdy byłem niemal rozwiedzionym, zhańbionym prawodawcą na przymusowym urlopie? Nie śpieszyło mi się zbytnio do pogaduszek z kimkolwiek.

— Devlin, to mój brat Jameson — powiedziała, wskazując butelką mężczyznę w szarej koszulce. Ręce miał schowane w kieszeni i garbił się nieznacznie, jakby nie zależało mu na obecności tutaj.

Kiwnąłem mu głową. Odwzajemnił gest. Od razu go polubiłem.

— A tutaj mamy Gibsona — kontynuowała, położywszy dłoń na przykrytym flanelową koszulą barku mężczyzny cicho brzdąkającego na gitarze.

Spojrzał na mnie jak na policyjnym okazaniu podejrzanych i burknął niezrozumiale.

Jakże sympatyczni ludzie byli w tych okolicach.

— To zaś jest Bowie — rzekła, klepiąc po barkach faceta noszącego koszulę w wafłowy splot i trzymającego w rękę piwo. Podobieństwo

rodzinne było wyraźnie widoczne pomiędzy braćmi, gdy można było ich bezpośrednio porównać. Z kolei Scarlett miała delikatniejsze rysy twarzy, a w blasku ogniska jej długie włosy miały odcień bardziej rudy niż kasztanowy.

— Hej, Devlin. Jak się masz? — Bowie wyciągnął rękę i uśmiechnął się lekko.

— Hej — powtórzyłem za nim jak papuga. Najwidoczniej utraciłem umiejętność konwersacji nawet podczas skrajnie niezobowiązujących spotkań. Gdyby teraz widziała mnie moja matka, Królowa Etykiety, spłonęłaby ze wstydu.

— Babunia Louisa prosiła, aby Devlin poczuł się wśród nas jak u siebie w domu — oznajmiła Scarlett, patrząc znacząco na Gibsona.

Ten tylko prychnął.

— Wsio rawno.

Scarlett strzeliła go z otwartej dłoni w tył głowy.

— Za-chowuj się — powiedziała to tak, jakby były tam trzy słowa.

— Dobra, dobra — wymamrotał Gibson i skupił się na gitarze.

— Jest silnym, gniewnym typem — wyjaśniła Scarlett przepraszająco. — Jameson to artystyczna, samotnicza dusza. A Bowie kocha wszystkich. Prawda, Bowie? — Zatrzepotała do niego rzęsami, on zaś posłał jej gniewne spojrzenie.

— Nawet nie waż się znowu zaczynać — powiedział i uniósł ostrzegawczo palec, ale w jego słowach nie było złości.

Scarlett się roześmiała; brzmiało to niczym świergot ptaków w słoneczny niedzielny poranek. Lekkość tego dźwięku poruszyła coś w moim wnętrzu.

— A ty jesteś...? — Usłyszałem siebie wypowiadającego te słowa.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

— No jak to, przecież jestem Scarlett Boline.

Ktoś znowu podkręcił głośność do poziomu wywołującego ból głowy, a Scarlett wydała z siebie pierwotny okrzyk, gdy rozpoznała jakąś piosenkę. Od razu przypomniałem sobie, dlaczego w ogóle się tu znalazłem.

— Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście ściszyli muzykę — warknąłem.

— Co? — krzyknęła.

Pochyliłem się ku niej, unikając ramion, którymi machała w rytm piosenki.

— Ściszcie to!

Roześmiała się.

— Devlin, przecież jest piątkowy wieczór. Czego się spodziewałeś?

Spodziewałem się grobowej ciszy w otoczonym lasami prowincjonalnym miasteczku, którego mieszkańcy byli już o dwudziestej w łóżkach, podczas gdy ja dochodziłem do siebie. Spodziewałem się wierności po mojej żonie. Do diabła, spodziewałem się, że moje życie ułoży się zupełnie inaczej.

— Nie wszyscy lubią imprezować — odparłem, wiedząc, że brzmię jak jakiś stary tetryk, który wygania dzieciaki ze swojego trawnika. — Ściszcie to albo wezwę policję.

— Och, wyyyyyyybacz. Nie wiedziałam, że *zabawa jest zakazana* tam, skąd pochodzisz — prychnęła.

— Zakłócanie porządku jest *wszędzie* zakazane, a wy *zakłóćcie* mój.

— Szczęść Boże! Może powinieneś trochę wyluzować? — zasugerowała Scarlett, trzepocząc rękami z udawaną sympatią.

Nie byłem już pewien niczego oprócz jednej rzeczy. Przyjazd tutaj był błędem. Bootleg Springs nie było miejscem, w którym można się ukryć i leczyć.

— Po prostu ściszcie to — wymamrotałem. Odwróciłem się i ruszyłem w kierunku mojego leśnego sanktuarium.

— Naprawdę miło było cię poznać — zawołała za mną. Byłem pewien jeszcze jednej rzeczy. Scarlett Bodine nie była szczerą.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

ZADZIORNA CHŁOPCZYCA, ZAGADKOWY MĘŻCZYŻNA, SEKS I SKANDAL

W prowincjonalnym miasteczku Bootleg Springs mieszka piękna, zadziorna i pewna siebie Scarlett Bodine. To intrygująca, twardo stąpająca po ziemi młoda kobieta, która kieruje się w życiu prostymi zasadami. Jest świadoma swojego wdzięku i z premedytacją wykorzystuje go do uwodzenia mężczyzn – wyłącznie dla przyjemności. Sytuacja zmienia się w momencie, gdy poznaje zagadkowego Devlina McCallistera, którego postrzega jako kolejny cel erotycznych podbojów.

Powieść Lucy Score i Claire Kingsley łączy pikanterię gorącego romansu z interesującą historią życia głównej bohaterki. Pełna wciągających dialogów, zaskakujących zwrotów akcji i bezpośredniego humoru, dostarcza mnóstwo rozrywki, a każdą kolejną stronę czyta się z wypiekami na twarzy. To idealna książka na wieczorny relaks – z niezwykle interesującymi bohaterami w roli głównej i tak samo ciekawym miejscem akcji, jakim jest małe, ale skrywające wiele tajemnic Bootleg Springs.

LUCY SCORE i CLAIRE KINGSLEY

to znane w USA autorki romansów, które połączyły siły w ramach serii o miasteczku Bootleg Springs. W bogatym dorobku mają niejedną bestseller i wiele wskazuje na to, że nowa trylogia również się nim stanie. Jeśli wciągają Cię opowieści o silnych kobietach i uwodzicielskich mężczyznach, twórczość tego duetu na pewno Ci się spodoba!

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-283-8476-7



9 788328 384767

Cena 44,90 zł